

KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK V

NR 7

TREŚĆ NUMERU SIÓDMEGO

JAN NEPOMUCEN MILLER	Oblicze Struga	str. 121
OLGA DAUKSZTA	Z poematu „Pańszczyzna”	125
TADEUSZ BOCHENSKI	Do Olgi Daukszy	128
ANNA NIEŁAWICKA	Rozmowa z Sokratesem	129
MIECZYŚLAW JASTRUN	Studnia	129
JANINA BRZOSTOWSKA	Krzyk dzikich gęsi	130
JERZY GIEYSZTOR	Pamiętasz	130
LOLA SZERESZEWSKA	Portret poety	130
SEWERYN POLLAK	Dojrzałość	131
STANISŁAW WYGODZKI	Krajobraz fauniczny	131
WACŁAW MROZOWSKI	Autobiografia	132
JULIUSZ WIT	Pieśń fabryk	133
IGNACY IGOŃ	Rezygnacja	133
HENRYK CZERKIES	Telegraf	134
STANISŁAW TON	Pamiętne czasy.	134
STANISŁAW K. TRAWKOWSKI	Modlitwa	134
STEFAN SZAJDAK	Ballada	135
JAN WOLFF	Razem z tobą	135
MIECZYŚLAW STRYJEWSKI	Nie mam powrotu	135
BRONISŁAW WIECZORKOWSKI	Strycharze	136
BRONISŁAW K. WIERZEJSKI	Zima nadechodzi	136
GEORG TRAKL	Jesień samotnych	139
	Pasja	139
	Zima	140
	Ufność	140
OSKAR MARIA GRAFF	Jak mówi pies?	140
STEFAN HEYM	Ojczyźnie	141
ANDRIEJ BIEŁYJ		141
OSIP MANDIELSZTAM		141
LEW GOMOLICKIJ	Przednawalniczne * * *	141
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI	Przegląd poezyj	142
	Noty	144

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:
Postój

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

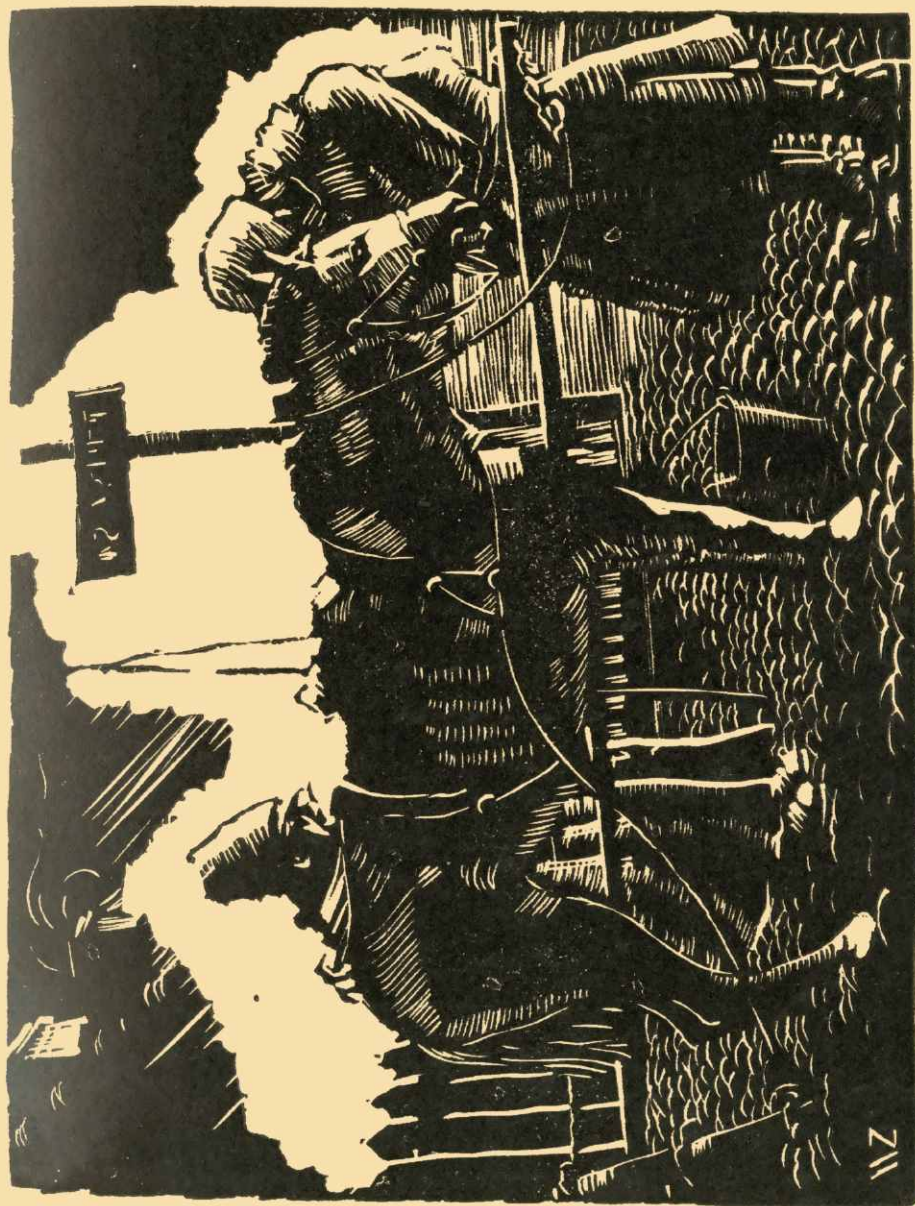
Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym.
Numer okazowy „Kamenu” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK V

MARZEC 1938 R.

NR 7 (47)

OBLICZE STRUGA*)

W listach Kurta Wagera, syna „Twórcy zwycięstwa“, którego „Żółty Krzyż“ miał wytruć i zagazować armie koalicyjne — odsłania nam Andrzej Strug tragedię pacyfisty z granatem w ręku, dramat człowieka, który walcząc z zabójstwem zabija, by nie być zabitym.

Kurt Wager, młody socjalny-demokrata, którego przytłacza groza sławy ojcowskiej jako genialnego wynalazcy najbardziej morderczej i zdradzieckiej broni, dla którego wojna jest jedną wielką mordownią i zmaganiem się oszalałych Cyklopów z wylupionymi oczyma — mimo pogardy i nienawiści do swego niszczycielskiego rzemiosła spełni do końca swój obowiązek żołnierski — i zginie przed czasem daremnie łudząc się nadzieją, że gdy wróci do domu z karabinem w dłoni, rozpocznie drugą, nową, swoją własną, świętą wojnę o nowy ład świata, o prawdę i sprawiedliwość społeczną.

W tym stosunku do świata, ludzi, wielkich haseł i białego bębna oficjalnej błagi Kurta Wagera, jednego z całej plejady widm i maszkar wojennych myślącego prosto i konsekwentnie — jest tyle liryzmu i prawdy wewnętrznej autora, że z postawy moralnej młodego kaptala armii niemieckiej, który nie życzy sobie awansować na oficera, by nie brać odpowiedzialności za wydawanie rozkazów — ze zwartej szczereliny jego ściętych ust można by odtworzyć etykę i estetykę życia praktycznego w ujęciu Struga.

„Albowiem nie godzi się — pisze Kurt Wager do swego wolnomularskiego wuja — uchylać od wspólnego cierpienia temu, który zamierza przez lud zmienić ustrój świata. Trzeba,

*) Przemówienie wygłoszone przez J. N. Millera na Akademii zorganizowanej przez Związek Zawod. Literatów Polskich w Warszawie ku czci Andrzeja Struga.

żeby przeszedł razem z masą żołnierską całą gehennę wojenną, żeby się zagłębił w jej wszystkie nędze i odgadł jej najskrytsze tajemnice. Ma on wytrwać z bracią żołnierską. Ażeby, gdy się wypełni czas a Kurt Wager będzie żył i stanie w obliczu mas, mógł zacząć od tych słów, które dają prawo do głosu i moc: aż do końca byłem z wami“.

Te wielkie i dumne słowa Kurta Wagera, którym Strug mógłby przywzrostić całym swoim życiem — są przede wszystkim świadectwem mistycznej niemal pokory Struga wobec najkardynalniejszej zasady życia zbiorowego.

Kurt Wager — mimo całego swego pacyfistycznego rezerwizmu jest wiernym do ostateczności towarzyszem broni, który za największą hańbę dla siebie uważałby szukanie drogi lepszej czy wygodniejszej od tej, jaką kroczyć musi masa, której część stanowi.

Wspominając z przekąsem o klęsce i rozbiciu wszystkich międzynarodówek w epoce tych największych w dziejach zmagania narodów, uczci i uświęci Wager tę najgłębiej socjalistyczną zasadę — podporządkowania się formom życia, dostępnym nie dla wybrańców losu i szczęściarzy, lecz dla tych, którzy na barkach swoich muszą znieść wszystko, by wspólnym i zbiorowym wysiłkiem wydzwignąć nowe i lepsze formy życia — zabezpieczającego wszystkim równe prawo startu.

Nie usypia to jednak czujności ani krytycyzmu bohatera wobec tego poziomu życia, który go spaja z współwalczącą gromadą.

Wierność dla wspólnej idei, poddanie się rygorowi zbiorowej odpowiedzialności nie wyłącza walki o indywidualną formę wyrazu, rozrostu wewnętrznego, godzącego nawet w spójność wspólnej prawdy

Wierność dla wspólnych sztandarów wyraża się w solidarności wobec wspólnych wrogów, w bojowej i jednolitej postawie wobec nacisku świata zewnętrznego zwłaszcza w momentach walki i zmagania, — nie zabija jednak pracy wewnętrznej człowieka ani jego twórczej inicjatywy, nie może go pozbawić przestworu do lotu myśli i wyobraźni, świadomości, jaką daje tylko nie absolutne wprawdzie, lecz względne poczucie wewnętrznej swobody

Gry wyobraźni bohaterów Struga nie wypełnia bynajmniej a w każdym razie nie określa w pełni (jak u współczesnych młodszych powieściowych marksistów) to, co ze społecznego punktu widzenia byłoby najbardziej charakterystyczne, jedyne i rozstrzygające środowisko i układ stosunków gospodarczych.

W rzeźbie, modelunku i karnacji psychicznej swoich bo-

haterów Strug nie jest monistą i choć uwzględnia czujnie i chwytanie te warunki, siły sprawcze i motory działań — zdobywa się również na bujną i pełną, anarchiczną niemal swobodę wyobraźni, która wyłącza możliwość oparcia się na jednej podporządkującej zasadzie.

To samo zresztą uderza w jego życiu.

Kiedy myślimy o Andrzeju Strugu i rozpamiętujemy poszczególne etapy jego bujnego i wielowymiarowego życia, uderza nas przede wszystkim zharmonizowanie tych pozornie odrębnych układów w całość i pełnię jakiejś antycznej „kalokagatheii“, ogarniającej pełnię możliwości władz i podatności człowieka.

Spiskowiec, żołnierz, artysta, czynny członek P. P. S., nieposzlakowany służbista obowiązku moralnego, wskazującego mu zawsze najtrudniejszą, najbardziej straceńczą z życiowego punktu widzenia drogę, — Strug tą zwartością, ładem i harmonią wewnętrzną o kilka kondygnacji psychicznych przerasta całe młodopolskie rozwichrzone pokolenie, wśród którego wzrastał i które go początkowo żywiło swoimi sokami.

W Strugu przy całym jednak jego pozornym opanowaniu i koordynacji moralnej pulsowała jakby byroniczna rozrzutność wyobraźni i woli, z jednaką swobodą wglądającej w tajony skurcz serca rewolucjonisty pod szubienicą, i w tragizm pustki życiowej amerykańskiego miliardera, i w bolesną drogę wiodącą od mogiły nieznanego żołnierza do murów więziennych, pod którymi ginie kapryśne wcielenie uroku kobiecego w postaci najpiękniejszej gwiazdy filmowej świata. Nie są mu obce również mroczne zaułki duszy zbrodniarza i kryminalisty.

Mimo określonego stanowiska społecznego, które zajmuje w życiu — w sztuce zdobywa się na epicką przedmiotowość, najbardziej ludzkie, pełne miłości i wyrozumienia wejrzenia w serca i umysły ludzi, do których, sądząc z jego postawy etycznej i społecznej, mógłby czuć tylko niechęć i pogardę.

Nie zniekształca bynajmniej, nie upraszcza tej zróżnicowanej psychiki mrowia ludzkiego. Zdobywa się raczej na przezwyciężenie swych naturalnych popędów i osądów, aby ujrzeć świat w całej wielopostaciowości jego i ludzi w pełni ich możliwości.

W związku z tym jednak stwierdźmy z przekąsem, że upraszczamy postać i osobowość Struga, ujednociając ją zbytnio i sprowadzając do pewnego grupowego typu.

Ze Struga zbyt szablonowo robi się męża sztandarowego socjalizmu polskiego, starając się w tym schemacie zamknąć wszystkie wybitne cechy jego psychiki.

Jest to jak na Struga — stanowczo za mało; nie mieści on się w ramach teraźniejszego socjalizmu polskiego.

W Strugu pokutowały nie tylko rycerskie tradycje rewolucyjnego socjalizmu z epoki 1905 r., lecz był on również jednym z niewielu, jeśli nie ostatnim socjalistą z tego pokolenia, który nie zgubił hierarchii celów i drogi socjalizmu w chwili obecnej na tle rosnącego napięcia ruchu mas wbrew rozładowującej jakże często polityce pewnych grup stronnictwa.

Długoletnia choroba nie pozwalała mu na większą aktywność, tam jednak, gdzie zdążył jeszcze odcisnąć piętno swojej woli (mam na myśli jego prezesurę w Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela), stanowisko jego wyróżniało się szczególnie bezkompromisowością i chęcią zespolenia w walce całej masy proletariackiej, niezależnie od lokalnego patriotyzmu poszczególnych stronnictw socjalistycznych.

To by należało uznać za właściwy jego testament rewolucyjny, mimo najlepszych chęci nie mieszczący się wcale w aktualnej polityce grup społecznych, które go uważają za swego sztandarowego męża.

Nie czas, oczywiście obecnie, na ujawnianie właściwego testamentu społecznego Struga. Zarówno warunki polityczne, jak pogrzeb — zbyt świeży, ludzie — zbyt żywi — wszystko to utrudnia a nawet uniemożliwia podejmowanie tej sprawy.

Mamy wrażenie jednak, że dotarcie do właściwej postawy i stosunku Struga do swego środowiska społecznego i politycznego przygotuje nam po latach niejedną niespodziankę, która na tle teraźniejszych konstelacji może wyglądać dość zagadkowo.

Będzie to jednak zagadka dla niewtajemniczonych, operujących szablonami pojęć, które znajdują ujście w propagandzie i agitacji.

Strug olśniewa właśnie tą swoją harmonią wewnętrzną, ładem i zorganizowaniem, wiernością wobec siebie i swego sumienia, co nie zawsze kazało mu być w zgodzie z okolicznościami, w jakich sądzono mu było działać i występować.

Należałoby go więc ujmować i oceniać nie przez ustosunkowanie się do ludzi i konstelacji, które go otaczały, na których tle występował, lecz nade wszystko przez ustosunkowanie się do niego samego.

Przymusowa i bardziej pozorna niż rzeczywista bierność pisarza w ostatnich czasach podsuwała natomiast próbę oceny czy otaksowania go przez tło, otoczenie albo środowisko. Jest to nieporozumienie, które umniejsza jego rolę i pozbawia go najbardziej charakterystycznej i znamiennej dla niego postawy

— niezależności sądu, za który ponosił pełną i osobistą odpowiedzialność, nie mieszczącą się — mimo wierności dla wielu idei — w żadnych grupach czy stronnicych konstelacjach.

I na tym polega może najistotniejszy rys charakteru i wielkości Struga, że dochowując jak jego Kurt Wager wierności dla wspólnej całemu szeregowi współwalczących idei, że mając najpełniejsze prawo przywórstwa słowom swego bohatera: „Aż do końca byłem z wami“ — jak karny i wyćwiczony towarzysz broni, poddając się rygorowi, spajającemu idących w bojowy szlak — zachował w obrębie świata swych myśli, uczuć i w kosmicznej przestrzeni swej wyobraźni tę swobodę w układzie pojęć, cech i przymiotów, która jest znamieniem sztuki nie pouczająco tendencyjnej, lecz pełnej i wielowymiarowej, kroczącej wspólną dla wielu drogą do sobie wiadomych celów.

JAN NEPOMUCEN MILLER

Z POEMATU „PAŃSZCZYŻNA“

W dobrach Pauluccich szły lata i lata.
Generał major surową prawicą
rządził w majątkach jak arystokrata
prawdziwie ruski, choć rzymska stolica
słała doń swego corocznie prałata
z błogosławieństwem. A syn za granicą
szukał zbawienia i stał się masonem,
dwie rany dostał w boju pod Akkonem.

Był troszkę dziwny ten włoski diuk z Bałtji,
kształcony w Rosji, Paryżu i Rzymie,
nie znosił „chamstwa“ i arystokracji,
lubił dysputy z ludźmi uczonymi,
zbierał diarjusze szlacheckiej Sarmacji
i z chłopstwem mówił jak z ludźmi równymi,
żonę wziął Polkę z inflanckich Sołtanów,
smukłą hrabiankę wiecznie zadumaną,

Mimo niezgody Aksel był kochany
moeno przez ojca boleśnie i skrycie.
Syn nierozsądny jak motyw śpiewany
z kancony włoskiej wszedł w majora życie.
Oplątał serce i był niewyrwany
niczym mu z duszy. Jak bławatki w życie
litewskim wonnym, tak te oczy syna
wplotły się w myśli, w stał wianka-wawrzyna.

I umierając pomimo napomnień
krewnych i bliskich swą całą fortunę
oddał synowi; z olśnieniem zapomnień
skonął generał, krzyż kładąc jak strunę
rzewną na piersi. Lecz syn do swych wspomnień
powrócił w domu, te były piołunem.
I po tygodniu objechał swe włosci,
lud go powitał pokłonem radości.

Graf dań obniżył i nędzne lepianki
zamienił w domki drewniane i z cegły,
lecz lud jak febry bał się „murowanki“
i wieści dziwne po kraju pobiegły.
„Nie ku dobremu szeptały zaścianki
ta družba z chamelem” A w wioskach odległych
kazał starowiec: Prawda oczywista:
graf przywiózł w księgach nakaz Antychrysta.

Aksel to słyszał, więc w swej każdej włości
zaczął budować dla ludzi świątynie,
aby nauczyć prawdy i miłości,
w Pilskaźnie kirchę, cerkiew w Kalininie,
w Szenbergu, w Birzy — przecudowny kościół,
szkołę i szpital w osadzie Bałtynie.
Gdy ksiądz, pop, pastor zaczęli już uczyć,
srogo się przeląkł graf Aksel Paulucci.

Po każdej wzniosłej nabożeństw godzinie
wioski patrzyły na siebie z ukosa.
Moskał Łotysza witał: — Poganinie.
Polak Litwina łupił na pokosach,
a Litwin szeptał: — Zapłacę gadzinie —
i nocą głuchą czekał nań już z kosą.
Zaś na kiermaszach Antuki i Wańki
pili na zabój, biły się zaścianki.

Potem graf sądził pod zieloną lipką.
a w swych komnatach śmiała się grafini,
w srebrzystej sukni miotła się rybką
przed samym oknem. W wieczornej godzinie
Aksel powracał zmęczony i z chrypką,
rządca kłął chłopów, że dzień pracy ginie,
grafini drżała w chorej irytacji
z podartym w strzępy śpiewnikiem Prowancji.

W trzy lata rządów graf, wróg pańszczyzny,
uczył braterstwa, aż w Birzy spłonęły
chaty Łotyszów i dym zgorzelizny
stanął nad zamkiem. Żurawie płynęły
wówczas za morze od brzegów ojczyzny.
Dwie zmarszczki czoła Aksela przecięły.
I w dwa dni potem graf z żoną Agnieszką
wyjechał z domu w krainę angielską.

Po pięciu latach, gdy kwitły jabłonie
i białe wiśnie sypały swe płatki,
drogą do zamku biegły gniade konie
i trzy karety gniotły polne kwiatki.
W jednej karecie dwórka w pstrym robronie
i pani w sukni w kolorowe kratki
siedziała z synkiem. A w drugiej kolasec
był sam graf z panem, opartym na lasce.

Gdy przyjechali, było bardzo głośno,
w pałacu, w sądzie śmiała się grafini,
wśród gości pani chodziła radosna,
dwie noce wtedy utopiono w winie,
było to dziwną, bardzo dziwną wiosną,
szepetano wówczas: Francuzi w Berlinie.
A polska szlachta, grając w faraona,
mówiła: Staw pan na Napoleona!

Pan graf objechał wszystkie swoje włości
i był zdziwiony: karczmę i szynk wielki
rządca zbudował, w zapobiegliwości

najrzęczniejszy z karczem wyławiał rubelki
na pana wojaż. W silnej porywczoności
graf zamknął karczmy, ale sługom wszelkim
dał na swój przyjazd zamorskie prezenta,
wstążki i suknie dostały dziewczęta.

Dzidra szynkarka, w plecach silna dziewczka,
dostała suknię z brokatu od pana.
Dzidra chodziła, jak wesola śpiewka,
z dworu do szynku, a z szynku do łana.
Była sierotą ta hoża Łotewka.
Mówiono: — kochał ją Łokaj Dżiowanno
i zapewniano, że ten człek zamorski
nosi w swym sercu dwie miłosne troski.

Zresztą rok dziwny był wtedy na świecie.
Dużo szeptano i czegoś czekano,
a jednej nocy stu ludzi w powiecie
z majątków grafa znikło i do rana
ślad ich zatarto, a sam graf w karcie
wyjechał dokądś nocą rozśpiewaną
słowicznym trelem, jak słodką kanczoną.
Wkrótce też Dzidrę w zamku powieszono.

Któż jednak widział, że Dzidrę jak sukę
powiesił hajduk, Włoch, młody Dżiowanno?
A może sama? Śmiertelną naukę
ktoś dał jej wiosną w nieobecność pana.
Bez wiedzy pani rządcą pozwał Pukę,
Finna kowala i godziną ranną
dwadzieścia dziewczek bito w ciemnej stancji.
Pani jechała znów do ciepłej Francji.

Dzidrę parobcy dziegiem oblewali
jej bordo suknię i białą pończoszkę.
Chłopi spluwali i ścierwą przezwali,
nikt nie żałował dziewczyny ni troszkę,
ni Włoch, ni pani, ni graf Aksel w dali,
bo Dzidra chciała być Martą Skowrońską,
jak żona Piotra Wielkiego Drugiego
chciała wciąż kochać innego, lepszego.

Twarcz miała białą, okrągłą; rumianą.
i oczy piwne jak w bułce rodzynki,
z góry patrzyła na rudą swą panią
i rej wodziła wśród dziewcząt w dożynki.
Pierś miała pełną i w życie szła łanią
dumną, rozrosła i w pańskie szła szynki
w sobotę żydkom pomagać lać wódkę
pijanym chłopom. Była bałamutką.

Gdy graf przyjechał, to pani nie było,
a hajduk pański po długiej spowiedzi
modlił się cicho nad Dzidry mogiłą,
a pan graf chodził, jakby nic nie wiedział.
Gdy zaś doń z skargą pięć dziewczek przybyło
wyjąc i płacząc, to sam je wypędził.
Dwa srebrne ruble dał młodszej dziewczynce
i rzekł z uśmiechem: Święci barbarzyńcy!

Potem wraz z Włochem wyjechał do Turcji
lub do Paryża. Któż wie o tym z chłopów?
Rządcą sam rządził, sprawiał egzekucję,
ruble słał panu, liczył złoto snopów,
pił anyżówkę i gnał z cerkwi popów,
a graf skądś pisał, skądś aż z rewolucji,
może z Berlinu, może z Orleanu,
że wkrótce wolność da swoim pejsanom.

Rządca Andruszkó, ekonom z Czyrwianki
rządzili srogo, batogiem, bez słowa.
Ucichły wioski i polskie zaścianki,
płynęła cisza złota, szafirowa,
biała, zielona. W wieczory, poranki
praca tętniła wiosenna, zimowa.
Pan graf chwilowo przyjeżdżał z wojażu
z zastygłą, szarą, spopielałą twarzą.

Czasem grafini z synami wracała
z dóbr swych letgalskich, lub z jakiejś tam wody,
chodziła w parku, piosenki śpiewała,
znów odjeżdżała. Szły dziwne narody,
wojska, armaty, znów wioski gorzały
jedna i druga. Śmierć i życia gody
ginęły w śniegu, wstawały w zieleni,
graf miał przyjechać z rodziną w jesieni.

Długo nie wracał, a życie w Warengach,
w Szenbergu, w Birzy wciąż było jak wczoraj,
lud chodził w łykach, w brązowych siermiągach,
do nóg się kłaniał księdza i pastora,
a ten ostatni pisał w swoich księgach,
że lud stworzony do brony, topora,
że sam Bóg chłopów panom służyć uczy,
lecz wieść gruchnęła: wrócił graf Paulucci.

Już w lipcu przyszyły powozy, sztafety,
służba i kufry. A czarny murzynek
z małpką, papugą na tyle karety
siedział z lokajem. Ogrodnik Marcinek
zaczął malować słupy i sztachety
wokoło parku. Kwitł wokół barwinek,
gdy graf powrócił. A drogi się słały
cykorią, wyką, pachły, błękitniały

OLGA DAUKSZTA

DO OLGI DAUKSZTY

na marginesie wiersza z „Waleta kierowego“

Co to jest miłość? odpowiadasz,
że szła Tytanii, uszy osła.
Opacznieś szła i smutnie doszła
i pusty był twój gładzysz.

Miłość jest drzewo: korzeniami
w ziemię zapadła, ziemię ryje,
ale koroną niebo pije,
latoróżgami trwa z gwiazdami.

Miłość jest łańcuch: dwa ogniwa,
dwie dłonie tak okrutnie zszywa,
że ból istnienia i skurcz dłoni
w jeden się kryształ rzewny spłoni,
w olbrzymią łzę, którą by w niebie
Bóg — za człowieka i za siebie
wypłakać mógł.

Miłość to smutna jest religia:
ż życia poczęta w życia służbę
przemocą parta, ponad służbę
niby mityczna się łodyga
wprostowała i śmierć ścięga.

Inaczej, Olgo, jest inaczej.
Nie zapragnęłaś nigdy dumnie,
nie zapragnęłaś miłościwie,
bez przebaczenia, bez rozpacy,
ale człowieczo, cierpiętliwie,
nie zapragnęłaś nigdy dumnie,
by cię nie w łożu z żywym kładli,
ale z umarłym w jednej trumnie?

TADEUSZ BOCHEŃSKI

ROZMOWA Z SOKRATESEM

Niebo, niebo jesienne,
Wieczyste i niezmienne
Cięży nade mną jak los.
Sokratesie, pójdziemy przez Ateńskie krużganki
O kryształowym poranku
Tam usłyszę dajmoniona głos.
I ja przed sądem stoję
I w elizejskie kraje
Niedługo muszę iść.
Za zgorzenie i wiedzę, za strącenie bogów
Przestąpię dzisiaj progi,
Za którymi Leta cicho łśni.
Sokratesie, by spełnić cykutę,
Znosić słowa zatrute,
Szemrzący bezmyślny ul,
Trzeba Asklepiosowi nieść ofiarę w dani
I z uśmiechem na ustach wiecznymi prawdami
Przezwyciężać pogardę i ból.
Jeśli twarz moja pogodna
Grozie rzeczy nieznaney się nie podda,
Sokratesie, złudny jest mrok:
To, co wśród ludzi wzniesione zostanie,
Będzie triumfem i poprzez otchłanie
Twój mnie będzie błogosławić wzrok.

ANNA NIEŁAWICKA

S T U D N I A

Od czasu kiedy dym cierpki i dziki
Kwietnia osnuł mnie wieńcem, od czasu
Jak się zerwała taśma harmoniki
Na podwórzu zatopionym, od czasu...

Gdy w jego studnię wpadły przełamane
Domy, drzewa, obłoki, od czasu,
Gdy wody ciemna toń w swym wnętrzu szklanym
Zaczęła gościć konary i ptaki,
A bobry wyszły z wigotnego lasu,
Aby w powietrzu pobudować dwory

Odkąd w leśne zajrzawszy jezioro
Nie ujrzałem już twych oczu, od czasu
Kiedy zachody (jak paznokcie z laki
Tej, która kąpie się i której ciało
Marmur mydła wonną pianą powleka)
Na przymkniętych poczułem powiekach.

Odkąd wszystko to istnieć przestało.

MIECZYŚLAW JASTRUN

KRZYK DZIKICH GĘSI

Chmurnego nieba nie strzegł w tę noc księżyc srebrny,
wiatr wilgotny i ciepły szumiał w gęstwie drzew —
szliśmy pod jego tchnieniem, w zadumie bezwiednej
czekający na czyjeś wołanie czy śpiew

Wtem wysoko nad nami, w nieobjętej nocy
rozerwał namiot ciszy rozpaczliwy krzyk
i wołaniem o pomoc głośnym, przejmującym
uderzał z głębi niebios, z mroku ciężkiej mgły.

Krzyk dzikich gęsi — poprzez ciemność chmur nabrzmiewał
łękiem pozostawionych przez leżącego klucz,
nie mogących nadażyć w drodze, którą trzeba
ostatnią mocą skrzydeł brać, ostatkiem tchu.

Spojrzeliśmy na siebie — i naszą tęsknotę,
tak przed chwilą samotną w ciemnym kręgu świata,
mrok nocy, przemierzanej zagmatwanym lotem,
z niepojętym i obcym krzykiem ptaków zbrała.

JANINA BRZOSTOWSKA

P A M I Ę T A S Z

teraz o gwiazdach cicho dorożki kołują
i wiruje przez słońce tętent koni szarych
błyskawicami okien pociąg zachód pociąg
przemijaniem dnia tego że czekam tu maryś

doprawdy gwiazdy zawsze chodziły ścieżyną
w miesiąc szyn inżynierek węzłami napętał
nerwy płoną och przecież powieki odwinąć
dym dym nie nalało nic z pustego dzbana mięty

ale pierwiosnkami stąd w łąki chodziło
słońce łebków dziecięcych na kozły na trawę
a złe domy biją hukiem wozów po ulicach
polny dławią blask no i smutno im w warszawie

jutro może nie takie maryś oczy zanurz
w światło dnia bo nalało zorzy godzin dziwnych
nie czarują latarnie pocałunków w cieniu
jak łąkami wtedy i naiwnie

JERZY GIEYSZTOR

PORTRET POETY

Złotą palmą czupryny rozechwiany wichrowo,
lśniący brunatnym żwirzem rozigranych źrenic,
ciosasz zdania jak rzeźbiarz, kształt nadając słowom,
zonglujesz bajką blagi, barwy i tajemnic.
Nagle skandujesz wielką kolorową kulę,
którą w sto kul błękitnych rytmicznie rozbijasz,
rozsypujesz balony w szafirowy rulon,
a każdy z nich lustrzanie twoją twarz odbija.
Teraz dwieście balonów nad dywanem tańczy,
w nich dwieście twoich twarzy lśni jak szklane cienie,
wzbijają się pod sufit trzepotem szarańczy,
kołyszają podobłocznie turkusowym wrzeniem.
A gdy uderzą w sufit trzeźwo i konkretnie,
pękają z cichym sykiem. To finał legendy.
Już opadają słowa zmarszczone najszeptniej,
groteskowo skrecone jak zecerskie błędy

LOLA SZERESZEWSKA

D O J R Z A Ł O Ś Ć

Wiosenne dnia zrównanie z nocą
Powietrze drżało promieniami --
Pamiętam. Dzień się zwolna mroczył
Obłoczkiem miękkim jak aksamit.

Stałaś ponad jasną wodą
A obłok w górze się rozpostarł --
I powiedziałaś: Cóż mu sprostą?
Tak się zasnuje nasza młodość.

I dziś, gdy wiek młodzieńczy minął,
Gdy każdy krok przebyty: miłą —
Szczęśliwy miesiąc, dzień, godzina
Oddycha tamtą cierpką chwilą.

SEWERYN POLLAK

KRAJOBRAZ FAUNICZNY

Zwierzęta moje! Wasze ślady
wiodą mnie w śnieżyste szlaki,
gdzie płochliwe zmarzły ptaki,
gdzie wyschnięty gnę się badył.

Zwierzęta ciemne! W lasy, w ostęp,
w bór szumiący po konary,
szeleszczący po bezmiary
mchem, podszyciem i porostem.

O zwierzęta! W leśne noce
w moczar gnane wichru wiewem,
w zarys bryły, w gęstwę drzewa,
które w mroku załomoce.

Idę, idę o zwierzęta
waszym tropem i cierpliwie
szeleszczące mchy, igliwie
strącam, mijam, lecz pamiętam.

Waszym tropem, waszym śladem
w zwierolasy i oddale,
w przeszłość jaskiń, kiedy w skale
mróz posrebrzał noce blade.

Tam w szkielety w kości piszczel
w kamień wrosłe tak jak kostur
północ wichrem mocno, ostro
świszcze, świszcze ..

STANISŁAW WYGODZK

AUTOBIOGRAFIA

Oczy maleńkie o świetle srebrnosiwych wełn
wśród gwiazd magicznych ktoś lekko rozchylił
w młodych ogrodach huczał i wybuchał Chełm
1912 roku
kołyską widzeń motyli.

W tętentach śpiewały gromadki najśladzszych chłopiąt
maluśki — bacikiem wierzbowym nad wodą łowiłem sny,
podpatrywałem ukradkiem, jak się dziewczęta kąpią,
co mają piersi wesołe, biodra smutne, w oczach łzy.

W pozołkłym elementarzu tańczyły litery pierwsze:
a—b—c, zdziwienie i lęk,
litery, z których później nuciły wiersze,
kiedy w gimnazjum pocisk liryczny pękł.

A lata dudniły śpiewem, rozwijały się ze wschodem zórz,
wichurą gwiazd spadających stygły w źrenicach
piszczałki grały cicho na świt, na dzień, na noc,
a każda płomiennie podsycza.

W kamiennej, północnej stolicy siostrzane listy
pełne wyrzutów, nadziei trapiły wciąż
płynęły oceanem półlitry, litry czyste,
opłatał gorączki wąż.

„Cóż wiesz, mój drogi, nieznany, coż wiesz o życiu, coż?”
szeptały wygasłe usta zwrócone w ocean burz.
„Cóż wiesz o sławie złotej, która cię zwali w grób,
aby pod straszną mogiłą kostniał mogilny twój trup?”

N i c.

Srebrne lato nad Narwią się wilo.
powojami oplatało barki
tu błędziła zaroślami miłość
w tonach świętej, pastuszej fujarki.

Śpiącego gnały upalne, popielne sny wśród ciemności.
W kręgów blasków znicza
tańczyłem trzymając dłonie
słonecznego Józia Czechowicza.

Tańczę dalej. Taki ciężki taniec
jak zło, Argonautów sprawa
lecz dalekie jeszcze winobranie,
daleka sława.

WACŁAW MROZOWSKI

P I E Ś Ń F A B R Y K

wiej nocy!
wiej czarna nocy!
nocy żałobna chorągwi wiej!

taki był śpiew ożałobionych fabryk
w tę noc wyjętą z burzy krwawiącej stulecia:
koło wyjęte z ostygłej maszyny

z bruku podnieśliśmy opadłe wczoraj owoce
w marcowych wybuchów lepką jesień
osiem podnieśliśmy trupów

osiem trupów
ich sztywne stopy:
czarne korzenie z chłodnej wyrwane ziemi
skręcone korzenie wychudłych drzew

osiem trupów
osiem trumien wsparło tę dymną noc
na wysokość śpiewu bijącego z fabryk:
najtrudniejszą pieśń

żałobą! żałobą! żałobą!
chmurną żałobą grzmiały skamieniałe kominy
najciemniejsze z płomienia organy:

 ręce mamy z drewna
 usta mamy z drewna
 pełni żalu nocy chorągwią rozwianej!

taki był z fabryk najgłębszy śpiew —
gdy już oto w żółtą ich ranę
rozdartą jak gorzki świt — pasmo zakrzepłej krwi
dzień spada żelaznym zgrzytem: kół burza ulewna!

JULIUSZ WIT

R E Z Y G N A C J A

Kroki jak ziarna deszczu szeleszczą w zroszonej trawie.
Kwaśnym szmerem łopianu wiatr uderza w skronie —
po liściach wierzb spływają melodie księżycowe
i srebrnie się kołyszą w uśpionym sępiń stawie.

Kroki jak żagle biją o brzegi wieczoru
o ciszę, co zapada w mgłę wonnej opalowej;
gęśle trzcin chłodzą słodko rozpalone dłonie
nawisłe jak jesienne westchnienia żurawi.

Coś błądzi po topieli bezwiednie i głucho.
Kroki milkną na chwilę wpięte w dywan mroku
milczy rozpacz.

 Śmierć bębni w śniadą czaszkę truchła!
 Otwierać!..

Otworzono:

Na białym pomoście
nożyce nóg pionowo wzniosły się nad topiel...
Bełkocze brzeg spieniony: odwódt nas od pokus...
a z mgły obłej nad wodą księżyc się wychylił
w modrym chłodzie stawu krople ciszy topi.

IGNACY IGOŃ

TELEGRAF

Żyły rozpięte na ukrzyżowanych palach
kilometrami —
Wzrok pochylony nad pasmami pociętych półkul
wyłuskuje wieści
rzucone na eteru falach.
I wtem
werbel szybkich paleów
i
trzy punkty
trzy kreski
trzy punkty
S. O. S.!

Usta rozdarte krzykiem.
Serce poderwane trwogą
w krtań
— szklanych słojów.
Krew wzmocnionym tętnem
niesie chłodnym świtem
w dal, powietrzną drogą
suchy klekot walców.
i

— — . — — —
— — — — —
— . — — . — — —
P o m o c y!
Słowa wystrzelone rakieta
obiegają świat
To nie my!

HENRYK CZERKIES

PAMIĘTNE CZASY

Niegęsty był las krzywych sosen,
w krzywe rowy skopany był piach,
żywicą pachniały okopy
i w drzewach już nie czaił się strach.

Kępami rosła ruda trawa
i drgał swierszeza monotony marsz,
tuż blisko stał cmentarz wojskowy,
mleczące krzyże po zgrozie szarż.

Gdym na to patrzył, dzieckiem byłem
i głodny z ojcem szedłem przez las,
ojciec wzdychał, chleb kruszył w garści,
w wychudłej garści w bezchlebny czas.

A był to jeszcze czas wystrzałów
i cieniem mogli splamionych dni.
Gdzieś w polu osiemnaście wiosen
zatopił brat we własnej krwi.

STANISŁAW TON

MODLITWA DLA KOCHANEJ DZIEWCZYZNY

Olchy
niech zimą zmarznięte nie płaczą
i ptaki znużone wędrówką tułaczą
wytchnieniem miłości niech odpoczną.
Dla wróbla na oknie
niech leżą kruszyny chleba;
wiejskich chat
niech wiatr nie owiewa.
Niech pracującym chleb poda
kochająca dłoń.

STANISŁAW KAZIMIERA TRAWKOWSKI

B A L L A D A

Skamieniał bór
w czarny marmur.
Prószy z niego żałobna mgła
i dziwożony wychodzą jedna, druga...

W ciszy pluska ich wysoki chichot
i księżyc — cicho.

Z lewa czołgają się wzgórza — już blisko.
Północ bije. Słysząc szept: Powalisko, Powalisko,
chodź ze mną na żalnik.
Idą z Marchołem wywłóczyć... o, umarli...

Straszy upiorna noc, demoniczna mgła.
A księżyc złękniiony ukrywa się w chmurach.

STEFAN SZAJDAK

R A Z E M Z T O B ą

Tak stałem zapatrzony w nurtu pieśń głęboką,
gdy pod różgi wiklin
kropelki ciszy cytrynową drogą się niosły szeroko.

Ty młynkiem rąk strącałaś jak przepiórki wiotki szum z dębu,
co pod wiatrem się lekkim ugina —
to znów wśród ziaren piasku rysowałaś niezdarne okręgi,
a już granatowy motyl zwoje skrzydeł nad nami rozpiął.

Potem podałaś mi nagle swoje dłonie —
cały świat chwyciliśmy mocno w objęcia
mówiliśmy najspokojniej szeptem aniołów:
miłość nasza wśród kwiatów płynie na boskim świata okręcie..

Pieszczotliwie unosiły się ciche słowa jak kropelki z ciszy.
Więc niech je woda rzeczna, szum dębu słodko pokołyse!

Słuchaliśmy
tylko od miasta polem szedł jak echo promyk miłej piosenki.

Że byłem wtedy razem z Tobą, o dzięki Ci, dzięki.

JAN WOLFF

NIE MAM POWROTU

Wieczór zostawia księżyc obok domu,
lśni srebrna kula, na dachy lekko spada,
potem będzie cisza.
Wiatr w sadzie zagra komuś,
potoczy się jabłko w białą zamieć.
Aż drzewa otworzą ramiona,
gałęzie jak dobre ramię.
Owoce w liliowe ranki są mokre i zimne
i słońcu podają liście na rośnię spotkanie.
Nie sam jestem w sadzie.
Nikogo nie ma przy mnie.
Owoce pachną. Zostanę.

MIECZYŚLAW STRYJEWSKI

STRYCHARZE

Wciąż zwróconym ku ziemi obliczem,
Bez przerwy
Biegają do mety
Boso,
Mąż i żona,
Jak psy gończe spuszczone ze smyczy.
On kaszle jak gruźlik w agonii,
Ona jak z krzyża zdjęty
Szkielet kobiety,
Jej ręce skostniałe
Dążą śladem jego pracy,
W oku błyszczy iza,
Z której
Jak po deszczu grzyby
W tysiączne roślinie piramidy
Przepych pałacy

BRONISŁAW WIECZORKOWSKI
(robotnik-samouk)

ZIMA NADCHODZI

Valtellina, 1938

Złote koło słońca toczy się po zębatych wierzchołkach gór, pieści dobrotliwie ciemne świerki, uparcie i zawzięcie wspinające się ku szczytom, rzuca snopy gorących promieni na szmaragdowe łąki i białe, pachnące miodem pólka kwitnącej gryki. Hałaśliwa Adda skacze po kamieniach i opryskuje pianą skołtunione czuby olszyn i czarnych bzów, chylących się nisko nad wodą. W powietrzu drga leciutka mgiełka, jakby zmieciony ze słońca pył. Pachnie jeszcze upałem i latem.

Nagle spoza wchodnich masywów wyskoczył gwałtowny, porywisty wiatr, zachybotał brutalnie wytworną, smukłą sylwetką rosnącej pod oknem topoli i z hukiem i świstem poniósł się dalej doliną. Na białość rozłożonego na stole papieru spadło kilka brązowych martwiejących liści. Z topoli zesza jesień.

Skończyło się.

Gęsta, mleczna mgła coraz częściej rankami zasnuwa wszystko dokoła, a grube, rozdęte cielska chmur przewalają się leniwie po górach i długo zalegają wgłębienia i zbocza. Do późnej nocy brzęczą dzwonki płowych, sytych, lśniących krów, schodzących w dolinę z pastwisk na wysokich halach i przez głowę wciąż mi się przewija ów wiersz poety rumuńskiego Cotrusa tak pięknie spolszczony przez Lewika:

dzwonią dzwonki słyszysz?
w gór omglonych ciszy
to za stadem stado
schodzi w dół gromadą

Szafirowa kupuła nieba przypomina teraz często wypła-

kane, spłowiełe oczy, a promienne zawsze gorące górskie słońce coraz krócej widzieć się daje w głębokiej, wąskiej dolinie. Przychodzą jednak dnie zdumiewająco piękne, tym piękniejsze, że są wspomnieniem wspaniałości i uroków minionego lata, pomnażającym stokrotnie ich urodę. Są jak pozostałe na dnie kielicha ostatnie krople ulubionego wina, wysączone powoli i z rozważą, aby nic nie uronić ze smaku i zapachu, jakby ostatnie wzmożone przeżycia szczęśliwej miłości, której nieunikniony kres i odejście czujemy w całej swej istocie.

Siedzę na wrosłym w łąkę, omszonym od dołu kamieniu. Brzękliwa, jednostajna melodia kos, pracujących przy ostatnim zbiorze siana, napełnia cichy, ciepły, kojący przedwieczerek. Moja ulubiona łąka na słonecznym zboczku stoi jeszcze nietknięta. Ukośne, jaskrawe promienie zachodu pogłębiają soczystą zieloność traw i podnoszą czyste barwy kwiatów. Patrząc zachwycony na subtelne, różowo-lila kielichy colchicum, gorące złoto jaskrów, fioletowe dzwonki, czerwone goździki, srebrne gwiazdy dziewięciosiłu i skromną biel niskich stokrotek. Nad kwiatami ważą się złote pszczoły i połyskliwe, ciemne huczące trzmielce. Przez dżunglę źdźbeł przebijają się z trudem obładowane mrówki i skaczą wielkie, zielone koniki polne. łąka szeleści, pachnie, kwitnie — żyje. I z przejmującym smutkiem myślę, że gdy tu wrócę jutro, zastać mogę więdnące, symetryczne pokosy, a pomiędzy nimi jasne plamy świeżych ran, broczących zieloną krwią. W słabym zapachu jesiennej łąki czuję już ową dziwną woń rzeczy odeszłych i umarłych, jaką wydają opuszczone mieszkania, zarzucone szaty, nieużywane meble — zmieszana woń pleśni, zwiędniętych perfum i zeschniętych pokruszonych ziół i kwiatów zapomnianych w starych szufladach.

Wielkim, granatowym autobusem jadę do odległego o dwadzieścia kilometrów miasta. Jest wczesny, zachwycający, lazuruowo-złoty poranek. W przeczystym, rześwym powietrzu rysują się bardzo plastycznie na ciemnym szafirze dalekie, groźne szczyty i błyszczą radośnie w porannym słońcu białe, kamienne domy licznych osiedli, ciągnących się po obu stronach wspaniałej, lśniącej szosy. Dolina wciąż się rozszerza, góry odstepują, a na ich złagodniałych stokach pojawiają się liczne winnice. Wszędzie wre wyężona praca. Na rozestanych po łąkach białych płachtach suszy się gryka przygotowana do młocki, którą wykonywają przeważnie starsze już wiekiem kobiety. W długich, fałdzistych czarnych spódnicach, białych bufiastych koszulach ze skrzyżowaną na piersi czerwoną chusteczką, czerwonych pończochach i drewnianych chodakach, sto-

ją po dwie naprzeciw siebie i z obrzędową surową powagą i zdumiewającą sprawnością ruchów podnoszą i opuszczają ciężkie, grube cepy — gdy dwa z nich jasnym zygzakiem zabłyśną nad głowami, dwa inne z nieomylną dokładnością uderzą w ciemne, zmierzwione zboże.

Pod grupą pięknych drzew leżą na ubitej ziemi świeżo zebrane, słodkie kasztany, a kilku wyrostków przykrywa je grubą warstwą opadłych liści, później zaś z całej mocy poczyną uderzać kijami dla rozbicia twardej, zielonej zwierzchniej powłoki. W jednym miejscu, przed jasnym, schludnym budynkiem szkolnym, widzę, jak dzieciaki w czarnych fartuszkach i białych kołnierzykach, pod wodzą młodej nauczycielki, troskliwie i mierzalnie wydobywają z kolczastej pokrywy te piękne, lśniące, rdzawe owoce o smakowitych jądrach za pomocą małych nożyków. Pomagają też w ogólnej, pośpiesznej robocie.

W winnicach, jak wielkie, jaskrawe kwiaty, barwią się bluzki roześmianych dziewcząt, zbierających ciężkie, czarne, nabrzmiałe słodyczą grona do wielkich, zbitych koszów z wygięciem przystosowanym do wygodnego umieszczenia na plecach. Mężczyźni wszyscy ładują suche już, pachnące siano na małe wózki, zaprzężone w muła lub osła, i odwożą drogocenną paszę do schronów zimowych. Na wyłożonym wielkimi, białymi kamieniami placyku, otaczającym duży kościół, suszy się rozłożona starannie trawa, a dobroduszny, gruby, wiejski proboszcz w podniszczonej sutannie i birecie, nasuniętym na potężny, czerwony nos — wszak *in vino veritas* — pilnuje swego dobytku, siedząc na kościelnych schodach.

Gdy powracam już po zachodzie słońca, cała dolina, rozbrzmiewająca dźwiękiem dzwonów na Ave Maria, płynącym z licznych kościołów, pełna jest jeszcze usilnie pracujących ludzi. Trzeba się śpieszyć, bo chociaż pogoda się ustaliła, żółkły jak wosk drobne liście brzoź i nabrały już barwy starego złota koronkowe, delikatne modrzewie. Nocami mroźny dech idzie od Addy, a białe czapy zsuwają się coraz niżej na wyniosłe czoła górskich olbrzymów

Idę w stronę małej osady w ponury, ciemny, smutny dzień. Zimny, przenikający do kości wiatr uderza ze wszystkich boków, obrywając ostatnie listki z czarnych, mokrych szkieletów drzew. Pod rozrzuconym, burym nawozem umarły śmiejące się wdzięki łąk. Od nisko nawisłego, posępnego nieba, od rudych zboczy, sinych skał i tajemniczych, lodowatych, pobielonych szczytów wieją groza i lęk. Zawarto szczelnie drzwi i okna, powiew śmierci, zagłady i zniszczenia zdaje się unosić nad zacichłą, jakby wyludnioną doliną.

BRONISŁAW KRYSZTYN WIERZEJSKI

JESIEŃ SAMOTNYCH

Zajeżdża jesień wśród owocobrania.
Pożółkle blaski dojrzałych dni lata.
Lazur się z mrocznych zasłon mgły wyłania,
Lot ptaków mitem starego teahia.
Moszcz wytłoczony, na wieczne pytania
Odpowiedź ciszy wydzwania kantata.

I tu i ówdzie krzyż na nagim stoku;
Trzoda się gubi w złotolistnym borze.
Nad staw wypłynął majestat obłoku:
Wieśniak-maruda ostatkiem sił orze.
Wieczór powoli ogarnia w cień zmroku
Strzechy chat starych i czerń skib pod zboże.

Rychło gwiazd spokój opromieni czoła;
W mroki izb znowu otucha się wkrada
I niebo schodzi w postaci anioła
Z ócz kochających, którym dola rada.
Zaszumiał szuwar; lęk przejmując zgoła,
Gdy nocą rosa z drzew bezlistnych pada.

GEORG TRAKL

z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

P A S J A

Gdy Orfeusz srebrną strunę trąci,
wtórując zmarłemu w ogrodzie wieczoru,
kim jesteś, odpoczywający pod wysokimi dzewami?
Szumi skargą jesienna trzcina,
niebieski staw,
umierając pod zielonymi drzewami
i tropiąc cień siostry.
Ciemna miłość
dzikiego gatunku,
któremu szumi dzień na złotych kołach.
Cicha noc.

Pod czarnymi jodłami dwa wilki w kamiennym uścisku
mieszają swą krew; w złotym
zgnębiła się chmura sponad ścieżki,
cierpliwość i milczenie dzieciństwa.
Znowu spotyka łagodne zwłoki
przy stawie trytonów
drzemając w swych włosach o barwie hiacyntu
Że w końcu pięknie chłodna głowa!

Bo ciągle tropi, błękitne zwierzę,
spoglądający pod zmierzchającymi drzewami,
przez ciemne ścieżki,
czuwając i drząc w tej nocnej śpiewności
ku łagodnemu szaleństwu;
albo znów dźwięczy ciemny zachwyty,
pełen muzyki strun
ku chłodnym stopom pokutnicy
w kamiennym mieście.

GEORG TRAKL

z niemieckiego przełożył Jerzy Kamil Weintraub

Z I M A

Połyska rola, zimny blask.
Samotne niebo nad lasami.
Wirują kawki nad stawami,
myśliwi dążą w ciemny las.

Milczenie mieszka wśród gałęzi,
gdzie czarny szczyt. Płomyków wianie
nadciąga z chat. I dzwonią sanie.
I wolno wschodzi szary księżyc.

I krwawi dzicz na lasu skraju.
Kruki pluskają w ściekach krwi.
Strzelista trzcina żółto drży.
Mróz, oddech, kroki w pustym gaju.

GEORG TRAKL

Z niemieckiego przełożył Jerzy Kamil Weintraub

U F N O Ś Ć

Daj, towarzyszu, swoją ciężką dłoń,
w jej pulsie jeszcze praca drga,
nas niewidzialną wstęgą spiął
ten sam wolności przeczuwany smak.
Może nas znużył walki trud,
lecz nie pokonał. Krok nasz bruk
oddzwania tysiącami nóg.
I cóż że jakiś zamiar nie dopisze,
nam tylko teraz rozstać się nie wolno z sobą,
bo w każdym mieście, w każdym kraju żyją towarzysze,
których ujrzymy po zwycięstwie znowu.

OSKAR MARIÁ GRAF

Z niemieckiego przełożył Stanisław Jerzy Lec

J A K M Ó W I P I E S ?

Znów barankami macie być poeci,
bo możliwych drażnić winniście się strzec.
Wam po ogródkach wonne zrywać kwiecie,
dumać w przyrodzie, kąpać się w zaświeciech,
a dawne, grzeszne dzieła w piec!

Niebieskich kwiatków kosić można łan by
a też migdałków niebieskich jest w bród.
Pomnóżcie je! Śpiewając dytyramby
niech ludzkość wieszka się na miejskie lampy.
Niech zdycha z głodu! Sztuce żyć — wasz trud!

Jak mówi pies? Że dzieciom będą dane
pensyjki kiedyś za wasz wierny hold.
Jeśli ktoś piórem krzyczy, to jest źle widziane.
Ciemności lubią te duchy świetlane
i ciemnym typom płacą suty żold.

A więc bębniście chórem każdy w swą maszynę,
i mistykę ciemną i westchnienia łzawe,
i „modrostałową a wysmukłą szynę“,
i dzwoniący o puklerze miecz.

Lecz zważcie jedno, przez taką zabawę
skreślacie się z pamięci synów
precz.

STEFAN HEYM

Z niemieckiego przełożył Stanisław Jerzy Lec

O J C Z Y Ź N I E

W latach rozruchów, burz i błyskań, W rozlewie łez, w straszliwej męce
gdy spada chwila prób na kraj, — wyraźnie widać już Twój los;
z przepalonego popieliska w gwiazdziste niebo jako ręce
diamentem twardym wstań — i trwaj. wznosi się modlitw święty głos

Niech nasze serca moc Twa zbawi! tam w kataklizmy groźnej Ery
Nad rozłogami sielskich cisz wprost ku kosmicznym potęg mgłom,
jaśniej od łuny i błyskawic gdzie przed obliczem jasnej sfery
krzew gorejący podnieś wzwyż. stare hierarchie spala grom.

ANDRIEJ BIEŁYJ (BORIS BUGAJEW)
Z rosyjskiego przełożył Józef Łobodowski

Jam opowieści nie słuchał Ossiana
ni starych win nie spijał ust mych strąk.
Czemuż majączy się oczom polana
i Szkocji krwawy księżycowy krąg?

Krakanie wron, skłócone z echem harfy,
zda mi się, ciszę gdzieś złowieszczęzą tnie
i na wichurze chwiejące się szarfy
drużyny wiernej wciąż migocą w śnie.

Dziedzictwo szczęsne otrzymałem cudem,
śpiewaków obcych niespokojne sny;
krewieństwo swoje i sąsiedztwa nudę
możemy rzucić bez najmniejszej lzy

Niejeden skarb, minąwszy synów, może
do wnuków przejdzie, by ich słodzić los,
i komuś skald znów obcą pieśń ułoży
i jako własną ją wypowie w głos.

OSIP MANDIELSZTAM
Z rosyjskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

PRZEDNAWAŁNICZNE, ELEKTRYCZNE TRAWY...

Przednawałniczne, elektryczne trawy,
o, przewodniki bożych sił!
Po jędrnych klingach czarną lawą,
ogniem kosmiczny eter bił!

I nie trawiastą krew zieloną, iskry
z korzeni skroś miąższ łądyg parł
ku górze, póki na ostrzach nie zwisły,
nie spadły w dusznej speki żar.

Krowa, w kojący świat wszedłszy strumienia,
z gęby leniwej sączy już
po kropki wodę; wypija z promienia
lazurowego bliskość burz.

Oto strudzony wasz oddech się mać
do krańców ziemi rośnie i
technie błyskawicą i ciężki brzęk strącił
z dymiących wyży niebios grzmil!

Piorun obala drzewa, chmury, domy,
na słowa, czyni pożar spadł!
Stając się ogniem, dymem chmur i gromem
trawa kołyszze ziemski świat...

LEW GOMOLICKIJ
Z rosyjskiego spolszczył Józef Czechowicz

Anna Świrszczyńska: Wiersze i proza,
Warszawa 1936

Już „Południe“ Świrszczyńskiej, nagrodzone w r. 1934 na „Turnieju Młodych“ — „Wiadomości Literackich“, zwróciło na nią uwagę miłośników poezji. Bo proszę, co za wiersz: jakaś dziwna meskolancja groteski i średniowiecza, podlana sosem stylizowanej staropolszczyzny, co w sumie dało utwór świeży i uderzający swą oryginalnością. Rzeczy zebrane obecnie w szczupłym ale ważkim tomiku utwierdzają nas w pochlebnym sądzie, jaki wyrobiliśmy sobie po przeczytaniu „Południa“ w stosunku do jego autorki. Książka obejmuje wiersze i prozę — podział zresztą tylko konwencjonalny i pozostający jedynie w związku z wyglądem graficznym utworów. Wśród wierszy znajdujemy tu dwie oddzielne grupy. Do pierwszej należą wdzięczne rzeczy fantazjotwórcze na pograniczu patosu i groteski, stylizowane na średniowiecze, antyk czy egzotykę. Druga grupa to obrazki, migawki, charakterystyczne spojrzenia i spostrzeżenia, nie pozbawione zresztą czasem również fantastyczności. W „Prozie“ spotykamy utwory krótsze i dłuższe (nawet zakrawające na nowelę) zbliżone do grupy pierwszej i drugiej. Niezwykły sztafaż obrazów Świrszczyńskiej (anioły, serafy, Victoria, średniowieczne dziewice, Dionizos, Amfitryta, Syreny, Walkiria obok grenadierów, huzarów, barbarzyńców, kupców bawełny, baletnic, modystek, aptekarzy z burmistrzem, Dantego z Beatrycą, Dulcynei z Donkiszotem czy Rabelais'go) i ta cała menażeria lwów, lirogonów, ryb, papug, strusi, sarn i jednoroźców; charakterystyczne epitety poetki w niespodziance zestawień stwarzające specyficzną aurę („uprzejme migotanie aniołów“, „zdrowy śmiech serafów“, „dorodne księgi sybillińskie“, „szumiące drzewo genealogiczne“, „kosztowne ruchy“ i t.d.); te nieznaczące niby, a wymowne powiedzonka (np. „Victoria ruchem niewątpliwie ładnym i kobiecym na twardą czaszkę wcisnęła mu wieniec“, albo „niektórzy nie zdążyli jeszcze umrzeć“); czasem subtelna ironia jak w owej pięknej „Podróży“: „Niemal to potrzeba będzie wyniosłości i samozaparcia, by żyć nie zabijając i nie rzucając się szlachetnie lwom na pożarcie“: — wszystko to składa się na całość wyjątkowo piękną i oryginalną i świadczy o dużym samodzielny talencie Świrszczyńskiej, która rzadko nam przypomina kogoś ze znanych poetów, jak np. Maxa Jacob'a („Sielanka“) czy Iwaszkiewicz z „Legend i Demeter“ (miejscami w „Prozie“).

Helena Platta: Kręgi na szkłe, Lublin,
nakładem Związku literatów 1937

„Otwórz oczy, otwórz serce, weź do ręki i przeczytaj“ zachęca na wstępie młoda debiutantka lubelska, ktorej miły uśmiech i mądre wyraziste oczy powitały czytelnika na fotografii. Uczyniłem to wszystko po to, by przy końcu natrafić na wyznanie; „wiersze moje są blade i chore: — brak im szerszego oddechu“ Sąd na ogół trafny i szczerzy, o ile tylko nie jest kokietowaniem czytelnika. Przy czytaniu książki od razu uderza nas brak krytycyzmu autorki i wyraźna niechęć do selekcji: zbiorek przytłacza nas ogromną ilością utworów drukowanych *petitem*, jeden po drugim, jakby w obawie, że któryś z nich nie pomieści się w czteroarkuszowej książce. A tymczasem trzy czwarte tych wierszy nie powinno się znaleźć w druku. Cóż bowiem począć z takimi wyrażeniami, jak „brokatowe sny miłości“, „ażurowa nocy dal“, „refrenna gama“ czy „rozplażowana pani w kostiumie zachwycającym“? A od takich banałów roi się w zbiorku. Wiersze o Lublinie, pisane pod wyraźnym wpływem Arnsztajnowej i Czechowicza, dalekie są od piękna pierwowzorów. Egzotyki — oleodruki (typowy kicz „Błękitne romanse“). Niedbała korekta i rozwichrzony układ graficzny utrudniają pracę czytelnika.

A jednak wśród wierszy p. Platty znajdujemy niektóre szczerze odczute, bezpośrednie i ładne. A więc erotyki: „Coś“, „Ucieczka“, „Gorycz“ Niezły jest „Bunt“, efektowny „Odi profanum“ (w obu udatne operowanie kontrastami). Do lepszych należą też wiersze morskie. Czasem w utworach słabszych znajdujemy jakieś bardziej interesujące miejsca, np. elegijne zakończenie „Święconego“, albo to „tętno krwi w zielonych arteriach“ „Sosny“ (irytuje potem w tym samym wierszu taki *passus*: „szumisz kosodrzewiną na Kasprowym Wierchu“) czy też owo „pierwszym dniom moim wybuchły Kiejdany rudym pożarem“. Tym gorzej dla tych lepszych wierszy, że trzeba je wyluskiwać w natłoku zdecydowanie słabych. Czekamy na drugi zbiorek, który już nie będzie tylko zapowiedzią.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

*Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę
„Kameny“ na drugie półrocze (2 zł. 50 gr)*

*Prosimy sympatyków „Kameny“ o jednanie nam
nowych prenumeratorów*

W № 6 „ALBO ALBO” czytamy interesujący artykuł Leona Kruczkowskiego p. t. „Jad czasów pogardy”. Za podstawę do głębokich rozważań na temat moral insanity w państwach totalnych posłużył Kruczkowskiemu fakt, który uszedł uwagi wielu osób interesujących się kulturą współczesności. Oto w dniach procesu Bucharina i tow. „członkowie wyratowanej z lodów podbiegunowych ekspedycji polarnej Papanina przestali do Moskwy depezę z wyrazami potępienia i pogardy dla stojących przed najwyższym trybunałem wojennym Z. S. R. R. oskarżonych”, domagając się dla nich kary śmierci. „Pomyśleć” — pisze dalej Kruczkowski — „oto ludzie, którzy przez długi szereg posępnych dni i nocy podbiegunowych czuli na sobie lodowaty oddech śmierci... oto ludzie, którzy poznali, przeżyli grozę najwyższą, jakiej doznać może istota żyjąca, pobiegająca głową grozę uczuć przedśmiertnych... Nareszcie uratowani. A wtedy — jakież wtedy pierwszy ich krok, pierwszy uczynek, chęć najpierwsza?... Oto żądać śmierci dla tamtych, przed moskiewskim trybunałem wojennym stojących ludzi, ludzi, których może nawet na oczy nigdy nie widzieli!... Sami za ledwie śmierci uszli — o śmierć dla innych zawołali najskorzej, najskwapliwiej” Istotnie, fakt „najdotkliwiej godzący w godność, w dobre imię człowieczeństwa“

JAKIM CELOM służyć mają „Arkusze poetyckie” Hoesicka? Sześć wierszy wybranych z całokształtu twórczości danego poety od biedy mogłoby go charakteryzować, wydawanie jednak sześciu nowych wierszy, będących najświeższym dorobkiem twórczym, w specjalnej plakietce jest zupełnie zbyteczne i, jak to słusznie zauważył we wznowionej „Okolicy poetów” Czernik, przyczynia się tylko do inflacji poezji. Tym bardziej, że te arkusze są tylko półarkuszami, a stosunkowo wysoka ich cena (50 gr.) nie przyczyni się do ich popularyzacji. Daleko lepiej rozwiązał tę sprawę miesięcznik literacko-społeczny „Orka”, którego nakładem ukazał się (jako bezpłatny dodatek do pisma) arkuszowy „Zeszyt poezji francuskiej” w przekładach Zbigniewa Bienkowskiego i Juliana Rogozińskiego: na 14 stron. znajdujemy tu 5 wierszy Reverdy’ego, 6 — Apollinaire’a, 1 Cendrars’a, 5 Cocteau i 4 — Jacob’a. Jako dodatek do pisma wydawnictwo to prędzej dotrze do rąk czytelnika, a cena jego (poza pismem) wynosi również 50 gr.

PO PÓLROZCZNEJ PRZERWIE ukazał się nowy zeszyt „Okolicy Poetów” Wznowienie pożytecznego czasopisma niewątpliwie zostanie powitane z radością przez miłośników i adeptów poezji, z których nie jeden na łamach tego miesięcznika zamieszczał swoje pierwsze wiersze.

WALCZĄC O CZYSTOŚĆ JEZYKA trzeba samemu wystrzegać się błędów, od których nie zawsze i „gleba bio-psychiczna” uchroni. Kto więc chce „oczyścić atmosferę od teroru tupetu i nachalności” „dentysty na Olimpie”, ten powinien zastąpić ten brzydki rusycyzm zwyczajnym polskim natręctwem czy natarczywością. Tak samo „ryżowa szczołka” mogłaby pamiętać, że po polsku się nie „m y c z y” tylko ryczy. (№ 15 „Prosto z mostu”).

PRO DOMO SUA. Jeśli „Kamena dobrze służy sprawom literatury polskiej”, jak o tym czytamy w № 2 „Ateneum”, to po co wypominać jej dwukrotnie „prowincjonalizm”? Zamiast zrozumieć warunki, w jakich blisko pięć lat wychodzi pismo literackie na prowincji, pismo korzystające z usług skromniutkiej drukarni i borykające się wciąż z trudnościami finansowymi (a jednak nie ulegające w tej walce) zrządzi się: a to lichy papier reprodukcji, a to linoryty wciąż tego samego grafika, a to „dziwna symbioza” poetów angielskich z czeskimimi lirykami (niby co dziwnego? czy to polityka? Pod względem kultury wiersz Nezvala wcale nie stoi niżej od poetów angielskich, w których sąsiedztwie się znalazł)... Rozumiemy najsurowszą krytykę, ale przykry jest ten ton wyższości: my, Warszawa. I dlatego mimo, iż sąd o „Kamenie” był na ogół dodatni, ta protekcjonalność stołeczna w roku Pańskim 1938 smuci nas, „Ateneum”

ERRATA: w poprzednim numerze na okładce mylnie wydrukowano: „Treść numeru szóstego“ zam. szóstego.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. W. MACH. w MIECHOWIE. Wiersze nie nadają się do druku. Przesyłka była źle ofrankowana, dopłaciliśmy 50 gr. Rękopisy zwracamy po nadesłaniu znaczków pocztowych.

P. A. WIZ. w ŁODZI. Najciekawszy „Świt“, ale w tym roku wydawniczym wszystkie n-ry już zajęte (№ 9-10 — specjalny). Dziękujemy za pamięć.

P. A. D. w CZORTKOWIE. Jest pan w błędzie. Aby być drukowanym w „Kamieniu“, nie trzeba żadnych protekcji. Wiersze były słabe. (Czyż koniecznie należało o tym pisać?) Nowe — lepsze, brak miejsca jednak nie pozwala nam z nich skorzystać. „Nasz Wyraz“, Kraków, Janowa Wola 9 1 p.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

Anna Nieławicka: Patrzą w jesień, Wilno, Nakładem Zw. Zawodowego Literatów 1936

Marian Czuchnowski: Pieniądz, Wydawn. „Sirinks“,
Kraków 1938

Adolf Fierla: Kamień w polu, Czeski Cieszyn, Nakładem Śląskiego Zw. Artystycznego w Czechosłowacji.

Feliks Araszkiwicz: Nieznana korespondencja Prusa dla petersburskiego „Kraju“, Lublin, 1938

Jan Reychman: O polsko-słowackiej współpracy na Podhalu, Warszawa 1938

Wacław Olszewicz: O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego, Warszawa 1938

Hlib Łazarewskyj: Zemelnyj ustrij Sowietśkoj Ukrainy, Wariag Warszawa, 1938

PISMA NADEŚLANE DO REDAKCJI

(od 1 stycznia)

- Albo Albo № 4—8
 Ateneum Nr. 1 — 2
 Biuletyn Polsko-Ukraiński № 1 — 14
 Czarno na białem № 1 — 13
 Czerwone Tarcze № 2 — 3
 Dekada № 9 — 13
 Depesza № 21 — 27
 Elan № 5 — 7
 Epoka № 1 — 9
 Front Świata Pracy № 1 — 4
 Kałoście № 1
 Krakowski Kurier Wieczorny
 Kronika Nadbużańska № 1 — 9
 Kultura № 1 — 13
 Kuźnica № 1 — 6
 Marchoń № 2
 Merkuriusz Polski № 1 — 16
 Miecz № 1 — 12
 Młoda Awangarda № 4 — 7
 Myśl Polska Nr. 1 — 6
 Naród i Państwo Nr. 1 — 12
 Nasz Wyrz Nr. 1 — 3
 Nazustriez Nr. 1 — 6
 Nurty Nr. 1
 Odrodzenie Nr. 5 — 6
 Okolica Poetów Nr. 1
 Orka Nr. 1 — 2
 Pion Nr. 1 — 12
 Polonista zesz. 1
 Praca Oświatowa Nr. 1 — 3
 Prasa Nr. 1
 Prąd Nr. 1 — 3
 Prosto z mostu Nr. 1 — 16
 Przemiany Nr. 5 — 6
 Skamander Nr. 90 — 92
 Slovenske Pohľady Nr. 1 — 3
 Slovenske Smery Nr. 3 — 4
 Sygnały Nr. 37 — 42
 Taternik Nr. 2 — 3
 Tempo Nr. 1 — 3
 Tęcza Nr. 1 — 3
 Tygodnik Ilustrowany Nr. 1 — 13
 Wiadomości Hrubieszowskie Nr. 1 — 11
 Wici Wielkopolskie Nr. 9 — 10
 Zespół Nr. 2 — 4
 Zet Nr. 2 — 6
 Ziemia Podhalańska Nr. 1